



JAKUB EKIER

LUDZKIE POJĘCIE

KOLUMBOWIE: PRZEKŁAMANIE W PIGUŁCE

Mija 80 lat od powstania warszawskiego. Czytam, że pewien jego uczestnik należał do „pokolenia Kolumbów”, i któryś już raz się wzdragam na tę nazwę. Czy można ją jeszcze odesłać w niebyt? Czy za późno?

Jeśli za późno, to dlatego, że Roman Bratny zdążył na czas. Ledwo stalinizm zaczął kruszeć, bliski władzy autor w rekordowym tempie napisał „Kolumbów rocznik 20”, 800-stronicową powieść o konspiracyjnych, powstańczych i tużpowojennych losach młodych akowców. Trafił z nią w 1957 r. na łagodną cenzurę. Dzięki temu w samej fabule przemycił tę czy inną prawdę pomijaną wcześniej milczeniem. Tytuł objaśnił tym, że bohaterowie odkryli wojenny „beźmiar grozy”, a później idee, które „dotarły wraz z socjalizmem”... Książka na długo zapewniła Bratnemu status głównego piewcy tamtych dramatów; była przystępna, sprawna narratorsko i siłą rzeczy przejmująca. Nic dziwnego, że polską wyobraźnię zawładnął też tytułowy obraz odkrywców.

Ten mógł się pewnie sam narzucać. „Kolumb” był pseudonimem jednego z głównych bohaterów, wziętym od realnej postaci. Wprawdzie niektórzy ludzie tamtej formacji obruszali się: nie są żadnym „pokoleniem Kolumbów”, są żołnierzami AK. Jednak pierwsze nakłady powieści (jak pisze Emil Marat w pasjonującej i poruszającej biografii Bratnego „Hamlet rozstrzelany”) zdobywano na bazarze Różyckiego albo stojąc w kolejkach do księgarni. Na emigracji choćby Stanisław Likiernik, jeden z pierwowzorów „Kolumba”, pochłoniął książkę ze wzruszeniem. W paryskiej „Kulturze” poeta Bolesław Taborski, niegdyś żołnierz mokotowskiego Pułku „Baszta”, życzliwie ocenił w niej obraz rówieśników: „Wyruszają na szukanie prawd, idei, życia, zwycięstw”. Wkrótce powieść stała się w kraju lekturą szkolną. W szerokim kręgu odbiorców nie mogły jej przyćmić cenniejsze literacko świadectwa tamtej rzeczywistości; były za trudne czytelniczo. Pojęcie „Kolumbów” usankcjonowały serial Janusza Morgensterna i piosenka Wojciecha Młynarskiego o tym, jak, pełni „chęci do wielkich przemian”, „odkrywali nowe lądy, obalali stare rządy”...

A z jakiej przyczyny się na to wzdragam? Nie jest nią proreżimowość Bratnego, najdotkliwsza w latach 80. Zdarzają się przecież, jak rzekłaby Hanna Malewska, „dzieła żywe”, mądrzejsze od autorów. Przyczyna nie tkwi także w Stanisławie Likierniku ani drugim pierwowzorze tytułowej postaci Krzysztofie Sobieszczańskim. Kryje się w Krzysztofie Kolumbie. Odkrywca Ameryki pierwotnie chciał znaleźć łatwiejsze szlaki handlowe do Indii. Latami zabiegał, by któryś monarcha sfinansował wyprawę, by przyznał mu część spodziewanych zysków i różne przywileje. Czyżby takie akurat pobudki wyróżniały młodych akowców? Czyżby to własne ambicje zderzyły ich z „beźmiarem grozy”? Kiedy Genueńczyk dopływał Atlantykiem do nieznanych lądów, służył już ekspansji kolonialnej hiszpańskiego imperium. Czyżby udziałem rzekomych „Kolumbów” też były mocarstwowe podboje?

Były - ale to ich kraj podbijano. To dwie ościenne potęgi obaliły w nim „stare rządy”, uśmiercając niektórych w tym pokoleniu. Pozostałych dosłownie (jak protoplastów akowca „Kolumba”) duchowo wygnały ze starego świata. Tymczasem tytuł Bratnego podpowiadał, że ich samych ciekawość gnała ku nowemu. Do cna zakłamywał przez to tragiczny los tych ludzi. Nie okazał się mądrzejszy od autora. Pozwalał tylko unikać nazwy AK, umacniał wyobrażenie, jakoby „wielkie przemiany” zaszły z chęci społeczeństwa - kłamstwo założycielskie peerelowskiej władzy. Mija 35 lat, odkąd abdykowało. To czas dłuższy od tego, kiedy hasło „Kolumbowie” przydawało się propagandowo. A jednak pokutuje ono w najlepsze. Cóż, reżimy mogą sobie kruszeć, ale w języku wciąż robią swoje. W im krótszych słowach, tym skuteczniej. Bo im drobniejsza pigułka językowa, im bardziej zgęszczona, tym trudniej jest ją rozgryźć. /©©